

chętnie ulata
gdzieś na krańce świata w bezkresnej
wieczności

wtedy me dotychczasowe i spłówałe życie
niby znany film się jawi
które dobiega wreszcie swego kresu
wtedy powracają odległe czasy i postacie

dzieciństwo krótkie jak pyłek dmuchawca
młodość bez sensu jak widok latawca
co na uwięzi szybuje beztrząsco
potem udręka dojrzałego wieku
któremu czas odbiera marzeń wszelkie blaski
oraz niedostrzeżone nigdy piękno
pozostawiając echa potargane strzępy
ułudę świata która nuży
jak samotność ludzka w obojętnych tłumach
kiedy się z nikim nie klei rozmowa
porą zmierzchu – kiedyś dobrą piękną
o tym co się jeszcze zdarzyć może

dzisiaj tylko jedno wiem na pewno
że wrócić trzeba tam...
co już nie dziwi ani nie przeraża

* * *

pamiętam tamten dawny
złocisto-miodny i świetlisty zapach
lip kwitnących
który był ojczystego krajobrazu sednem

w którym istniałem przez czas jakiś
w pobliżu drzew alei
w podleśnym krajobrazie łąk Mazowsza

gdy słońce stało w apogeum
drzewa w cienie ciszy stały

jak wielki wszystko miało sens
kiedy to jeszcze miałem
prawdziwy i rodzinny dom

gdy w domu była jeszcze matka
i pies przyjaciel ukochany

teraz krajobraz mazowiecki
tamten
porą lata
przychodzi czasem w snach

jak w raju pobyt kiedyś
dawno
przed wygnaniem

Andrzej Walter

pesel i zima

nakładamy na siebie
puste kalki
wydarzeń

na polu mróz
wygodny mróz
elektrycznie zimny
tani i zdrowy

jak chcą mędrzy z portalu kasowanych dni
palą się dzieci w ogniskach
kiedyś w nas płonących
natchnieniem

ten mróz
jakże gorąco wlewany na duszę
schnąco wędznącą

ten mróz
czasu trwóży
niwelowany
błękitem wizji
snujących nocami
złudzenia

x-elita

przeczytał w życiu
trzy książki
instrukcję domofonu
brak czasu
i ulotkę z siłowni fitness
liga mistrzów i mango TV
białe kromki light
strzeżony raj

na zewnątrz
nieudacznicy zebrali o śmierć

pod napięciem
biało czerwonym
ktoś wypiął pierś po medale
same
się dopięły
do zaśług

dzwonią mamią
każdy ruch
sygnalizuje
nowy dzień

jakie to były książki?
kapitał?
pasje?
bóg przerobiony?

Dzwonią
telemarker przynosi
radosny śmiech
kumulacji

niepotrzebność

kiedy opadnie złotousty szum
spłoną korony
nadzy
staniemy przed sobą
uświęceni

prawdą poranka
krzywdę utuli szept

opadnie zgiełk
wygasną ekrany
podryfują
korytarzem starości
w pijaną pustkę

uwierzcie w wiare
amputowanie potrzeb
we krwi

los
zabębni palcem w stół

poczeka

mitochondria

wypełniam sens w kolorze nieosiągalnym
zatrute skrzydła
nie wzniosą do lotu
pożałowania godne upadły
przed Miłoszem

on się śmieje
z gołębi fotela patrzy na sztorm
grzbiety fal
większe
od unicestwień zeszłego wieku
a Miłosz widzi już nowy wiek

kradnę smak nieba
chowam poranki
do brudnej kieszeni
fabrycznego uniformu

zarabiam ciałem

w śmieciowym świecie Miłosz karleje
do rozmiaru jaszczurka
szeleści jeszcze pełnią sal
na wieczorkach autorskich
gdzie był
w kolorze
nieosiągalnym

trans

zbawiciel bez tajemnic
wypuścił z raju
dziesięć przykazań
my w nirwanie
pijamy wódkę
pod osłoną nieba

prosto z domu dziecka
pójdziemy in vitro
po pastylki
na kopulację

ostatecznie każdy głosował
na prawo do orgazmu